Tom V. Nr. 7.

1. Września. 1861.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZYGMUNT TRZECI, KRÓL POLSKI.

III. Nieład w domu.

Przylecieli gońce donieść królowi o bitwie pod Kircholmem, i zastali go właśnie wraz z innymi panami w kościele, kędy ksiądz Piotr Skarga, najsłynniejszy pod owe czasy kaznodzieja, nauczał i przestrzegał lud cierpkiemi słowy, że wielkie nieszczęścia wiszą nad polską krainą.

— Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli — mówił ksiądz Skarga — w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkiem niedostatku. I włożą jarzmo na szyje wasze, przeto iżeście nie służyli Panu Bogu swemu.

Ucieszyłać wprawdzie ludzi po tej mowie wiadomość o wygranej bitwie, ale niestety już niezadługo jęły się sprawdzać nieszczęścia przez księdza Skargę przepowiadane.

Najbliższem z tych nieszczęść były smutne zatargi domowe, jakie się wnet po całej Polsce wszczęły. Powodem do nich była znowu samowola króla Zygmunta, który po śmierci pierwszej żony, bez niczyjego przyzwolenia z drugą księżniczką austryjacką się ożenił, i już na piękne się z Niemcami pokumał.

Więc szlachta i panowie, widząc jak sobie król pozwala, jęli się zjeżdżać i radzić nad swą niedolą, a w końcu też zebrali się zbrojno i głośno wyrzekli, że króla słuchać nie chcą, bo im ich prawa narusza.

Toż dopiero od tej chwili zrobiła się istna Sodoma i Gomora. Król posyła księdza Skargę do szlachty i napomina i prosi, a ci nic, jeno swoje robią, zbroją się, zjeżdżają w coraz większe kupy i odgrażają na króla. Więc, aż zgroza bierze wspomnieć, do czego to w końcu przyszło! Król zawołał Chodkiewicza z wojskiem, wziął też inne oddziały i ruszył na nieposłusznych, których zwano wonczas *rokoszanami*, jako że *rokosz* przeciw królowi podnosili. Schodzili się nieraz rokoszanie i królewscy, aleć jakoś nie mieli odwagi uderzyć na siebie; w końcu zniecierpliwiło to królewskich, i pod *Guzowem* uderzyli pierwsi na swoich braci. I patrzcież, tak dalece nienawiść zaślepiała oczy walczących, że bracia braci rąbali bez opamiętania, i siła krwi własnej natoczyli! Zwycięztwo wachało się chwilę, aż ci w końcu poszli w rozsypkę rokoszanie, i jakoś pogodzili się z królem po tej smutnej bitwie.

Tymczasem w innej stronie dziwne rzeczy wyrabiają nasi. Owóż trafiło się u zamożnego księcia na Wiśniowcu, że był w służbie kuchta, zwący się Hryćko jak siła innych; ale cóż z tego, kiedy z oczu mu zupełnie na kucharza nie patrzyło, takie miał pańskie wejrzenie. Więc niejeden głową kiwał i dumał sobie że się w tem coś święci, aż tu jak na raz zaniemógł mój Hryćko, i taki był kiepski, że mu aż księdza sprowadzili.

W tej chwili śmiertelnej przyszło dopiero do wyjawienia tajemnicy. Hryć pokazał krzyżyk wielkiej wartości i zeznał, że nie jest wcale żadnym kuchtą, jeno synem moskiewskiego cara, owego Iwana okrutnego, i że musiał uciekać z kraju, bo go zabić chcieli. Toż dopiero dziw nad dziwy, i dopiero wielkie honory dla kuchty, skoro mu się zrobiło lepiej, a w końcu przyszedł zupełnie do zdrowia.

— Toć on a nie inny! — mówili sobie ludzie — lata te same, jedno ramię krótsze, plama na twarzy: kubek w kubek Dymitr, syn Iwana!

Więc *Mniszech*, krewny księcia Wiśniowieckiego a pan całą gębą, zabrał odszukanego Dymitra do siebie, i za przyzwoleniem króla postanowił zbrojno i dwornie zaprowadzić carewicza do Moskwy, jako prawego tronu dziedzica. Zaraz też zebrawszy swoich dworskich ludzi przeszli granicę moskiewską. Garstka to tego była maleńka, i szli zgoła jak z motyką na słońce, bo nieprawy władzca na tysiące liczył swojego żołnierza; aleć że to nasi niby w obronie prawdziwego cara się wybrali, więc i Kozacy i inni Moskale się do Dymitra przyłączyli, i tak szli do miasta Moskwy. Cudem też prawie doszli na miejsce, boć wojska wielkie drogę im zastępowały, lecz ułatwił im sprawę i ten wypadek, że nieprawy władzca umarł właśnie pod oną porę; więc Moskale widząc Dymitra, syna pamiętnego Iwana, przystali do niego, biorąc go sobie za cara.

Wtedy Dymitr, zostawszy już carem moskiewskim, zwrócił się do Mniszcha, i rzecze:

— Mój Waszmość Panie, będąc jeszcze w domu u ciebie, spodobałem sobie był córkę twą Marynę, a myślę, że i ona mi nie była krzywa. Jeźli więc zezwolisz na połączenie się nasze, toby Moskwa godną miała carowę.

Więc pan Mniszech skłoni się na to:

— Znać w tem wola Boża — rzeknie — więc jej się sprzeciwiać nie godzi. — I zadarł głowę do góry i spojrzał na innych z pod oka, bo to nie bajki mieć córkę za carem! I wnet też stało się tak jak uradzili, a piękna Maryna Mniszchówna siadła na carskim tronie moskiewskim.

Alić, któż nie wie jakie bywają sprawy z Moskalami? Lepiej to podobno mieć z bydlęciem do czynienia, bo to choć nierozumne, jak z tym krwi chciwym narodem. Więc też i pan Mniszech i Maryna żałowali niezadługo swego pośpiechu, bo owóż, skoro się Dymitrowi zachciało Moskali na katolików przerabiać, tak owi obruszyli się, rzekli, że to nie Dymitr jeno jakiś oszukaniec, i dalejże się buntować. I bardzo smutno skończyła się cała historja, bo zbuntowani Moskale Dymitra zabili, Polaków przy nim bawiących wyrznęli, a Marynę obdarli ze wszystkiego i wrzucili do więzienia.

Tak też i na ten raz już po całem carstwie; choć niezadługo nowy Dymitr się zjawił i świeże wszczęły się zaburzenia, a te były przyczyną do wojny z Moskalami, o której wam przyszłą razą opowiem.

Pieśń

o świętych Patronach Polskich.

(Na nutę jak: „Bądź pozdrowiona“)

Wysokich niebios wysocy Panowie,
Słabego świata możni Patronowie:
  Ratujcie nędznych, ratujcie prosiemy,
  Bo bez ratunku waszego zginiemy.
Spojrzyjcie na nas od tronu Pańskiego,
Nachylcie ucha ku nam łaskawego,
  Utulcie serce Boga rozgniewane,
  Wstrzymajcie strzały gniewem hartowane.
Wszystkich pospołu pokornie wzywamy,
Których królestwa opiekunmi znamy:
  Przecież nam kiedy ubłagajcie Boga,
  Niech pokój wróci a ustąpi trwoga.
Nad wszystkie jednak oraz przed wszystkiemi,
Błagamy Ciebie, Święta nad świętemi,
  Maryjo, matko Boga i sędziego,
  Przejednaj Syna długo gniewliwego.
Pomnij, żeś naszą Panią się mieniła,
Czemuś Twe sługi teraz opuściła?
  Oto że nazbyt bezpiecznie grzeszymy,
  A tem opiekę niebieską tracimy.
Ufajmy jednak! Matka to litości,
Przyjmie pokornych do swej łaskawości:
  Przyjmij nas! przyjmij, u nóg Twych wołamy,
  Spraw niechaj przez Cię, Boga ubłagamy. *(Prz. lud.)*

Jak to sobie trzeba z dziećmi postępować.

W jednej wsi, nieopodal od Krakowa, żyła sobie wdowa. Była to zagrodniczka, i choć sama była, ot jak wdowa, ale jej dziękować Panu Jezusowi biedy żadnej nie było, i nie wiele

brakło jej do szczęścia. Aleć przecie trafiła się jedna turbacja, co okrutnie gryzła jej serce, a to, że miała jedynego syna, co mu było Jaś na imię, a ten był straszny, wielki nicpoń.

O, mówię wam, że już nie było psoty, którejby ten miły Jaś nie był wyrządził. Dosyć powiedzieć, że cała wieś bała się go jak ognia, bo nie było dnia, żeby komu z rozpusty nie zrobił jakowej przykrości. Choć moiściewy, jeszcze i młode to było, bo nie miało więcej jak dziesięć lat.

O Najświętsza Panienko! już biedne kobiecisko nie wiedziało jak sobie z nim postąpić, a dziwno jej było czego zaś jest takie ladaco, kiedy ona mu od samej maleńkości, nic nie folgowała. Boć nie pieściła uchowaj Boże, ale zaraz duchem karciła, i często gęsto pucuwkę tęgą od niej dostawał. To też i tych psot nie darowała ona mu nigdy, ale tłukła i biła co w niego wlazło, a potem to mu i dobrego słowa nie dała, myśląc, że tem najlepiej zrobi, i że go może naprawi.

Ale gdzie tam! Jakby się wszyscy bisi na biedną kobiecinę zmówili, bo ona bije, tłucze, a Jaś co dnia zamiast być lepszym to gorszy. Ledwo się już babsko gdzie nie podziało! Bo to moiściewy, ten rozpustnik jakiś, jak już nie miał co komu na złość zrobić, to dalejże leci na zagony, na to mówiąc w len, jak jeszcze był zielony, i któremu gospodarzowi nie jeden i nie dwa zagony wyrwie. A jużcić ztąd swar wielki we wsi i obraza Boska okrutna.

Już biedna matka i na mszę świętą do Przemienienia Pańskiego dawała i co, a tu Jasiek jak broił tak broi. A co on nowego figla spłata, to ona go za każdy figiel dziesięć razy surowiej ukarze.

I zdarzyło się, że jednego dnia były jakieś chrzciny, a owa kobieta poszła z kumosiami do karczmy. Więc przy kieliszku o czem mowa, jużci nie o czem innem, tylko o złośliwym i rozpustnym Jaśku. I pocznie biedna matka żalić się przed kumoszkami, że już nie może z tym swoim chłopakiem wytrzymać:

— Wierzcie mi moja kumo — rzecze — jużem sobie tak w swojej głowie umyśliła, że jak Pana Jezusa kocham, jak mi

jeszcze raz jaką psotę ten bachor zrobi, to niech się dzieje co chce, wezmę kamienia z młynka i do razu go uśmiercę.

— Ej, dla Pana Jezusa — ozwie się jedna z kumoszek — przeżegnajcie się Wojciechowa, coście też to za głupie słowa wyrzekli! Żebyście zaś swoje własne dziecko uśmiercić chcieli, tobyście, czego Boże uchowaj i Najświętsza Panienka, i jego i swoją duszę zabili.

— A kiedy już nic z nim poradzić nie mogę, hej nie mogę! — rzekła kobieta i poczęła od żalu wielkim płaczem zawodzić, że aż się rozlegało po karczmisku.

— A wiecie wy też jeszcze co — rzecze znowu po chwili ta sama kumoszka — tak na mój głupi rozum, spróbujcie też jeszcze obchodzić się z nim jakby z najlepszem dzieckiem. Zaraz jak wrócicie do chałupy, to go zawołajcie do siebie, przemówcie do niego dobre słowo, popieśćcie się z nim, pocałujcie go, obiecajcie mu co ładnego kupić na kiermaszu jak będzie grzeczny; a o tych jego psich figlach i psotach, jak kamień w wodę wrzucił, nic mu nie wspominajcie. Któż wie, może to wasze dobre serce ujmie go, i da Pan Jezus, że się poprawi i ustatkuje. Bo jużcić tak po prawdzie, wyście tam Wojciechowa od maleńkości trocha za surowo się z nim obchodzili.

— Oj, święteby wasze słowa były kumosienku! — rzecze Wojciechowa — i kiedy mi tak doradzacie, toć ta jeszcze i tego spróbuję, a jak się nie poprawi, to widzi Pan Jezus, że zrobię z nim koniec.

— No, no, spróbujcie jeno Wojciechowa, i zdajcie się na wolę Boga, a takie głupie, grzeszne myśli niech od was odejdą.

Ta i przyszła ci Wojciechowa do domu, i poczęła robić tak, jak jej kumosia doradziła. Prawie znalazła Janka, jak się ta gdzieś po za ścianę czy na strychu ukrywał, boć jakąś psotę wyrządziwszy, był pewny, że go plagi nie miną. A tu matka go zawoła pięknie po imieniu jak się patrzy:

— Jasiu, moje dziecko, pójdź-no tu!

Chłopak przystąpił nieśmiało, a owa kobieta poczęła go głaskać, i pięknemi słowami do niego przemawia:

— Gdzieżeś był Jasiu, cóżeś robił? Nie róbże już dziecko psoty nikomu, bądź grzeczny, to cię będę okrutnie kochać, i

będę cię pieścić, i da Pan Jezus doczekać kiermasza, to ci kupię czapeczkę czerwoną z barankiem.

Jaś przytulił się do serca matki, od którego go surowość jej długo odpychała, i czy jej jakowe słowo rzekł czy nie, tego nie wiem, dosyć, że się mu czegoś w duszy okrutnie słodko zrobiło, i zdało mu się, jakoby się dopiero był narodził.

No, i nadszedł ci drugi dzień, a Jaś grzeczny, nie rozpustuje, nie biega, nie odchodzi i krok od chałupy, a matce aże świat zapachnął. I tak zeszedł niejeden dzień, ba i niejeden tydzień, a Jaś dobry, potulny, miękki jak wosk, co z niego zrobi co chce; gdzie mu ta jaka psota w głowie, kiedy on się niezmiernie cieszy tem dobrem sercem matki, że anioł nie dziecko zrobiło się z niego! A kobieta się temu jak cudowi wydziwić nie może, i dziękuje Panu Jezusowi, i chciałaby tę kumoszkę co jej taką rzecz doradziła, ozłocić.

Ha, i zdarzyło się, że tamtejszy dziedzic, przechodząc sobie raz przez wieś, zobaczył Jasia jak sobie spokojnie pasł bydełko, i okrutnie mu się czegoś jego łagodna i miła twarz udała. Tak posłał ci po matkę i spytał ją, czyby mu też Jaska do jego syna nie dała do usług?

— Że — mówi — wyprawiam go do szkoły do miasta, tobym mu dał Jaśka do kompanji, bo widzę, że jakiś rzetelny chłopak; a możeby przy takiej rzeczy jak się mój syn będzie w naukach ćwiczył, i on mógł co skorzystać?

Kobieta ucieszyła się takową wolą Pana, pokłoniła mu się pięknie pod nogi, i dała Jaśka do panicza do usług.

No, i pojechalić oba do miasta. Do panicza chodzą instruktory i uczą po całych dniach, a Jasiek się jeno przysłuchuje wszystkiemu. Ale cóż ta z tego, kiedy jak przyjdzie co do czego, i jak się po żarcie Jasia o co spytają, to Jaś tylko ze słuchu więcej umie i rozumie jak panicz, choć mu instruktory po całych dniach głowę suszą. Jak się też o tej rzeczy dowiedział pan dziedzic, tak ci zaraz go kazał wszyściutkiego uczyć pospołu ze synem.

A Jaś rok w rok premijantem, że to nie pytaj: i kiedy już przepięknie skończył wszystkie klasy, tak ci pan dziedzic spyta się go jednego dnia tak:

— Mój panie Janie, bo jużcić teraz tak cię będę mianować, czemże sobie zamyślasz być w świecie, powiedz otwarcie, a ja ci we wszystkiem pomogę. Na ten przykład, możebyś chciał być doktorem, to ja wszelki nakład biorę na siebie.

Pan Jan czyli nasz Jaś, pokłonił się pięknie panu dziedzicowi, i rzecze:

— Proszę wielmożnego pana dziedzica, kiedy taka łaska pańska, to jabym sobie też życzył, i taki już oddawna jest mój zamysł abym został lekarzem, ale nie ciała, jeno dusz ludzkich, to jest kapłanem, sługa Bożym.

Więc dopomógł mu pan dziedzic co potrzeba było, i nasz rozpustny Janek został księdzem. O, ale jakim księdzem, to poszukać w świecie, jaki pobożny, cnotliwy, a jak was ludku prosty kocha, bo jużcić jest wasze dziecko, kość z waszych kości, a jak kocha ten kraj nasz, tę polską ziemię, matkę naszą! w każdziutkiej chwili dałby za nią życie. Dosyć że mało, ej mało takich dobrodziejów w całym kraju.

Dawno to już, przed laty, to ja się z nim częściej widywała, i byłam z nim w przyjaźni, i on sam o sobie tę rzecz którą wam tu spisałam opowiedział; ale teraz już go dawno nie widziałam, wiem jeno, że tu kędyś w naszej ziemi jest plebanem, i prawdziwym sługą Boskim jak się patrzy. I wiem ci na pewne, że jak on to o sobie wyczyta, to się rozpłacze z czułości, i pocznie dziękować Panu Jezusowi za tę Jego nad nim łaskę, i zmówi pacierz za tę kumoszkę, co taką mądrą radę dała jego matce. Bo żeby nie to moiściewy, a to kto wie, możeby był z niego jaki wisieluch, a tak przy Boskiej pomocy jako sługa dobry i wierny, duszami i sercami ludzkiemi się opiekuje.

A wam tu moi kochani ludkowie, a osobliwie wy matki, muszę z tego taką wyprowadzić naukę, abyście z waszemi dziećmi różnie sobie postępowali i niekoniecznie zawsze surowo, bo nie zawsze jednakie są serca u dzieci: jeden potrzebuje ostrości, a z drugim nic nie poradzisz, jeno miłością, dobrocią i słodyczą. Jak oto ten przykład tu wam powiedziałam, że ów sługa Boży już od maleńkości miał serce do miłości Boga i bliźniego stworzone, a że zrazu w swej matce nie znalazł tej miłości co jej szukał, i tej dobroci, to tak to jego serce było,

jakby na ten przykład kiedy się kto opije, co robi sam nie wie co, a wszystko to z tej przyczyny, że biedna matka zrazu nie umiała sobie z nim postąpić.

Pamiętajcież więc moi kochani rodzice, abyście z dziećmi waszemi, choć się mało wiele trafi jaki rozpustnik, różnie próbowali, abyście im miasto nieba, waszem ostrem postępowaniem piekła nie przysporzyli.

Ludka z Myślenic.

Pożar w Maksymowicach pod Krakowem.

Opowiedział Paweł z Uścia.

Wiadomy nam tu wszystkim przypadek, który się wydarzył w Maksymowicach; a że w przypadku tem zachodzi zdarzenie, co wyraźnie dowodzi, jak srodze ukarał Pan Bóg łakomego i chciwego cudzej pracy człowieka, a to człowieka zresztą pracowitego, więc nie zupełnie złego i zepsutego, chcę wam o tem opowiedzieć.

Maksymowice należą do pana dobrego i uczciwego, coby i za szpilkę nikomu krzywdy nie zrobił; to też dziwno, że u takiego pana spaliły się stodoły, ta i w stodołach cały złożony dobytek. Gdyby to ten pan był tyranem a krzywdzicielem swej służby, gdyby się srodze obchodził z wieśniakami i najemnikami, pomyślałby sobie niejeden: może go tam jaki nikczemny włuka umyślnie podpalił. Tu zaś tak nie było. Właściciel Maksymowic jeźli komu ze swego nie udzieli, to pewno cudzego nigdy nie pragnie, a obchodzi się nawet ze żebrakiem jak najuczciwiej, i dlatego też lubiony od wszystkich panów i włościan w całej okolicy, co najlepiej pokazało się przy pożarze jego dobytku. Chłopi bronili do upadłego swego ulubionego pana z narażeniem życia, zapominając o własnych blisko leżących domach, które zarówno z dymem pójść mogły; bogatsi sąsiedzi dopomogli swemu przyjacielowi odbudować się zupełnie, wsparli czem mogli tak, że zacny pan nie poniósł może żadnej straty przez pożar, którym go Pan Bóg tylko na ukaranie innych na-

wiedził. Zaraz na drugi dzień po ogniu, waliły się z rana, bo pożar był w nocy, waliły się gromady ludu pocieszając dobrodzieja; chłopki znosiły płachtami siano dla bydła, a bogatsi panowie posyłali wozami karmy tak, że w dzień ten trudno się było przecisnąć drogą wiodącą do Maksymowic, pomiędzy jadącemi i idącemi z pomocą i pociechą.

Na zapytania co się to stało, jedno odpowiadał wszystkim pan pogorzały:

— Bóg tak chciał, tak się stało, niech będzie pochwalone Jego Imię Najświętsze — a dziękował ludziskom za niesienie ratunku.

— Zkąd powstał ogień? — zapytywaliśmy się, cośmy przyjechali z dalsza i jeszcze nie wiedzieli o przyczynie pożaru.

— Mój Boże! — rzekł ktoś nato — i cóż ci przyszło człeku, żeś się nie wstrzymał od zbytecznego łakomstwa, mając ta i w chałupinie tyle coby ci przy pracy na wyżywienie własne, żony i dziecka wystarczyć mogło! Mój Boże! mój Boże! oj naukać to dla setnego łakomca! Ale ten Bartek, to już niepochamowany łakomiec. Wszystkoby był chciał mieć. Na cóż mu to przyszło, na co? A co tu ruiny i naszemu panu, a kochanym paniętom!

— Dajcie pokój, nie sądźcie Bartka — rzekł ktoś drugi — Pan Bóg go już osądził.

Tak rozmawiano w tłumie ludu, poglądając wciąż to na kupę leżących niedopałków, to znów na leżącego na boku spalonego trupa, nakrytego jakiemś odzieniem.

Dreszcze nas przeszły na tę mowę, gdyśmy spojrzeli w tę stronę gdzie nakryte ciało leżało, bośmy się czegoś nadzwyczajnego domyślać poczynali. Każde wymówione słowo słychać było na kilka stajań, bo w ciszy jakby makiem zasiał milczące tłumy stały nad pożogą, prawie nieruchomo jakby skamieniałe; zaledwo kto słowo przebąknął, tak było wszystko zmienione a zrażone okropnością wypadku.

I my strętwieliśmy, nieznacznie odwołujemy jednego ze stojących gospodarzy, a ten nam jął trwożliwie opowiadać:

— Hej Boże! Boże! i siebie styrał, i pana styrał, i kobiecinę z dziećmi ten Bartek nieszczęsny. Moi panowie widzicie, widzicie! juźci się to z jego przyczyny zapaliło. A miałci

chłop chałupinę, miał kawałek gruntu i dobrze mu się dosyć działo. Co u niego było złego, to ta zbyteczna chciwość, żeby to tak zaraz chciał był mieć wszystko, co u kogo zobaczył a jemu się podobało. Toć my go tu znali. Dobrze to starać się mieć coś tak dobrego jak mają inni, ale trzebaby uczciwym sposobem do tego dochodzić. Tać to chciwość zgubiła go moi panowie, ta i zrujnowała naszego pana! Domyślamyć się co to być mogło, bośmy znaleźli Bartka spalonego zakopanego w słomę ot tu, gdzie była młocarnia przy kieracie, a przy nim znaleźliśmy kozik wyostrzony. O rany Boskie! nie wspominajcie mi, bo człowiekowi włosy dębem stają! Jak wiecie, po takich upałach wszystko suche jak krzesiwo, ogień duchem ogarnął naraz co było. Bronimy, a broniliśmy naszego pana co strach; odrywamy co możemy, a tu kwik, kwik, straszny kwik słychać. — Co tam takiego? pytają, prosie wpadło do ognia, czy co? — Ej to myszy się palą — mówią chłopacy; a tu, ciągnie któryś osęką chłopa za nogę. O Chryste Jezu! Parobcy zaraz w nogi. Szczęście, że ja, ale co ta za szczęście, dosyć, że ja lu wodą na chłopa! On jeszcze kwiknał, stęknął jeszcze i w naszych oczach skończył, czy tam jak mam powiedzieć, bo prawdziwie nie wyglądał na Boskie stworzenie; leży tam przykryty łachami.

— A wiecie Janie — przymięszał się parobczak — on się z tym nożem pewno na pasy u kieratu zakradał, bo kiedyś jakeśmy robili w młocarni, podobały mu się bardzo te szerokie rzemienne pasy u kieratu; te wiecie, co to pan dopiero nowe kazał podorabiać, a za każdy coś dużo, podobno 20 reńskich płacił. Podobały mu się te pasy, ale mówił, że niepotrzebnie są takie szerokie, i jeszczeby z nich pasek można odkroić.

— Tak? — rzekł Jan — a może, może to jemu się to paska zachciało, bo i jego babina mówiła, że Bartek jak wrócił z pańskiej roboty, pojadł sobie na wieczerzę, poprawiał na sobie i powiadał: Tak człeka porczęta opadają, ani też paska nie mam porządnego. Naostrzył potem kozik, wziął w rękę zapałki i wyszedł, ale ona go ta nieboga nie pytała dokąd idzie!

— Ano, ano! to on sobie to chciał pasek odkroić. Oj Boże! Boże! o ten głupi pasek tyle nieszczęścia! Patrzcie no się, patrzcie!

— Tak to, tak — mówił Jan — oj gorzka to nauka dla setnego, jak to okropnie ukarał Pan Bóg chciwego Bartka, choć to chłop zresztą pracowity i trzeźwy, nikomu drogi nie zalegał.

Tylem usłyszał od Jana i parobczaka o nieszczęsnym Bartku. Inni domyśliwali się, jedni to, drudzy owo. Domyśliwano się, jakim sposobem mógł Bartek zapalić stodoły; mówiono, że zatarta zapałka upaść musiała w słomę, ztąd wszczął się nagle płomień, że Bartek stracił przytomność i nie wiedział którędy uciekać, bo zapomniał którędy wszedł, wszyscy zaś twierdzili jedno, że od kieratu i młocarni palić się zaczęło.

— To okropne zdarzenie! — pomyślałem sobie.

Właśnie w tej chwili nadjechał z Krakowa doktór dla opatrzenia spalonego. Niechcący zobaczyłem straszny widok! opalone włosy po jednej stronie głowy, nabrzmiałe ciało na twarzy, zresztą i odzież nie tknięta; noga lewa osmalona, cholewa u jednego buta potargana od osęki. Okropność brała! Nie długo potem zobaczyliśmy pana Maksymowic. Właśnie ukończył był obrachunki z urzędnikiem od asekuracyi, towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od ognia. Wszystko odbyło się w porządku; towarzystwo wkrótce wypłaciło za zrządzoną przez ogień szkodę, a pan przy pomocy sąsiadów prócz kłopotów nie poniósł żadnej straty w gospodarstwie.

Kobiecie Bartka i dzieciom jego przeznaczył pan coś na zapomogę, boć oni byli zupełnie niewinni, a biedactwo, ze swego wyżyć nie mogli i zarobić też nie podołali.

Ten tedy straszny wypadek opisałem wam tutaj, bo mi się godny opisania wydawał; wy zaś opowiedźcie o nim każdemu, kto sobie za nic tego nie ma, że sąsiadów w małych rzeczach pokrzywdza. Każdeć to pokrzywdzenie, małe ono czy wielkie, znajdzie wcześniej czy później zasłużoną karę. Tu widzicie ukarał się Bartek przenajokropniej, ten Bartek, który przez zwężenie pasa może nie myślał wyrządzać swemu panu żadnej przykrości. Oj, nie czyńcie nikomu najmniejszej szkody, mając przed oczyma owego nieszczęśliwego Bartka!

Jak to sobie radzić, żeby szkody od ognia nie było.

Niemasz pewnie w gospodarstwie gorszego nieszczęścia jak pożar. Bo to jak się nie urodzi, jak się zmarnuje, to wiesz przynajmniej że to własna twoja wina, że to kara za lenistwo i niedopilnowanie; jak grad wytłucze, a choćby do ziarnka wytłukł, to przecież zostanie ci gdzie głowę pod dachem ukryć, a ręce masz jeszcze zdrowe do zarobku; ale jak ci przyjdzie pożar i puści z dymem zagrodę, i sprzęt wszelaki a nawet i chudobę: oj, to wtedy nie mało serce się zakrwawi, spoglądasz po niebie i po ziemi szukając ratunku, a jak go nie znajdziesz na razie, to cóż? czarną, nieuprawioną ziemię i gruzy z chałupy zostawiasz na wolę Bożą, a sam torbę przez plecy i hajże po dziadowskim chlebie, błogosławiąc jeszcze ludzi, gdy dzieciskom gdzie do siebie głowę przytulić dadzą. Jak ci gospodarz zasobny, a uciułał sobie jaki woreczek do skrzyni, no, toć jeszcze nie ostatnio! Z biedą, z biedą lecz się jakoś odbudować zdoła, choć i to dzisiaj, z naszemi papierzanemi pieniądzmi, łatwo ci ogień i uciułany grosz zabierze! Ale jakże tu poradzić chudzinom, co od roku do roku zjedzą własną pracę, a i to czasem na przednowku jeszcze im nie starczy? Czyż taki musi już koniecznie iść z torbami, jeśli go ludzie z łaski nie wspomogą? O, jak Bóg na niebie, że nie, bo jest na to godziwy i chrześcijański sposób poratowania swego mienia! — Pan Bóg dopomaga tylko ludziom pracowitym, sprawiedliwym i zapobiegliwym. Nic ci nie pomogą odpusty, spowiedzie, posty i modlitwy, jeśli przytem będziesz gnuśnym leniuchem, zdziercą i szkodnikiem. Jeśli sobie uczciwie nie zapracujesz, albo w nieszczęściu rękami i głową własną nie zaradzisz, to ci Pan Bóg nie spuści gotowego z nieba, bo Pan Bóg tylko pracy i przezornej zapobiegliwości błogosławi. „Módl się i pracuj!“ to każdy winien mieć w sercu: modlitwa ci potrzebna, abyś nie poszedł krzywemi drogami niesprawiedliwości, a praca i przezorność, byś mógł sam spokojnie to ziemskie życie przebyć, a dostatkami twych bliźnich wspomagać.

Trzeba ci więc obok pracy: oględności i przezorności, żebyś się nie potrzebował nigdy spuszczać na cudzą łaskę, jeno na własną głowę i własnych rąk dwoje, a wtedy żadno nie-

szczęście, choćby jak wielkie, nie zgubi cię do szczętu, bo będziesz na nie już przygotowanym. Więc i pożar, choćby ci cały dobytek pochłonął, jeszcze cię zniszczyć nie potrafi, jeźli sobie będziesz naprzód myślał żeś i ty taki ułomny człowiek jak i inni, że i twoja chałupa czyto słomą czy gontem pokryta przed ogniem się nie ostoi, że więc i ciebie nieszczęście pożarowe łatwo dotknąć może. Jeżeli tak sobie pomyślisz, to łatwa nato rada, bo się *zabezpieczysz od ognia*, i już spisz spokojnie.

— Ba, a jakżeż się to zabezpieczyć od ognia? — zapyta niejeden — toć to w tem cała sztuka?

— A jużci w tem cała sztuka, lecz nie wielka, jeno posłuchajcie!

Od dawnać to już myśleli nad tem ludzie i tak wymyśleli:

— Żeby to każdy dał niewiele, po kilka groszy czy złotówek, a takich dających była duża liczba, toby się i spora uzbierała sumka, bo to jak ludzie mówią: *grajcar do grajcarka, będzie pełna miarka!* Jużci ci wszyscy co dali, spalić się naraz nie mogą, ale za tanie pieniądze spokojnie spać sobie będą, bo pogore jeden, dwóch i trzech, no, toć uskładanych pieniędzy wystarczy, żeby tym szkodę i z czubem zapłacić, coby się odbudować mogli.

Jak też sobie tak ludzie wymyśleli, tak dalejże zawiązywać się w Towarzystwa zabezpieczenia od ognia, czyli *Asekuracje*, kędy co zapobiegliwsi płacą dobrowolnie niewielki podatek, a zato kwit od Towarzystwa dostają, że w razie pożaru zabezpieczona suma, na jaką swój dobytek oszacują, zwróconą im będzie. Jużci ci ludzie w Towarzystwie z początku i swego grosza coś nieco mieć musieli, żeby, broń Boże, z początku siła wypadków pożarowych pokryć już czem było; aleć z czasem zabezpieczało się coraz więcej i coraz więcej, a dzisiaj przyszło już do tego, że Towarzystwa z tych składanych podatków gruby grosz zyskują, i jako swój zarobek chowają do kieszeni. A żeć to te Towarzystwa wszystkie za granicą naszej ziemi się zawiązały, czyto z Niemców, czy z Włochów, czy z Węgrów, tam też mają swoje pieniądze i tam ich na inne interesa potrzebują, a tu tylko utrzymują swoich urzędników co od nas zabezpieczających się pieniądze odbierają,

dając za to kwity i wypłacając skoro kto się spali: więc też i ten wszystek zyskany z nas grosz idzie za granicę, do Niemców, Węgrów, Włochów i innych, im kieszenie wypełnia i im do wygód służy.

Zmiarkowawszy to, a będzie temu ze dwa ze trzy lata, zaczęli nasi co bogatsi panowie i mieszczanie tak myśleć:

— Jużci zabezpieczać czy tam asekurować się trzeba, bo to rzecz mądra, ale pocóż my mamy nasz grosz krwawo zapracowany obcym Towarzystwom dawać, żeby go za granicę wywozili, kiedy my możemy sami się w takie Towarzystwo zabezpieczeń od ognia zawiązać, u siebie pieniądze składać, i sami też sobie wypłacać, gdy na kogo nieszczęście Pan Bóg spuści?

— A prawda! — rzekli inni co mądrzejsi, i dalejże się nad tem jeszcze naradzać, a w końcu poprosili Cesarza o pozwolenie, i tak nie zbyt dawno temu zawiązali Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń od ognia, którego naczelników siedziba jest w Krakowie, a które teraz po całym kraju swoich urzędników czyli *ajentów* wyznaczyło. Chwała Bogu więc, nie będziemy Niemcom i innym cudzoziemcom naszych pieniędzy dawać, ale u swoich ludzi składać, więc grosz w kraju zostanie, i nie będzie tyle kłopotów i turbacji, gdy przyjdzie w nieszczęściu od swojego żądać zapomogi.

Was to moi mili gospodarze wiejscy najwięcej obchodzić powinno, bo was najczęściej pożar z torbą na plecach z rodzinnej wsi wygania; więc jak to się w naszem krajowem Towarzystwie zabezpieczać trzeba, opiszę wam dokładnie w przyszłym numerku.

RÓŻNOŚCI.

Kmiotek Polski w Rzymie u Ojca Ś. Feliks Boruń, ubogi kmiotek z pod Krakowa, dowiedziawszy się, że Ojciec Ś. jest w smutku i biedzie, postanowił iść do Rzymu i odwiedzić go. Wziął kij w rękę, pożegnał rodzinę, i dalej w Imie Boże do Rzymu.

Po siedmiu tygodniach niezmordowanej podróży, dostał się nasz chłop polski do tego sławnego odwiecznego miasta. A Pan Bóg wynagrodził mu to jego podjęte trudy, bo Ojciec Ś. dowiedział się, że chłop polski z tak daleka do niego przychodzi, i zapragnął go widzieć.

W Środę więc po Nawidzeniu N. Maryi Panny nasz kmiotek wprowadzony został do pałacu Papie-

skiego z tłumaczem, bo Papież po polsku nie mówi, a nasz kmiotek inaczej nie umiał. Zadziwił go ogromny i przepyszny kościół Ś. Piotra, i wspaniały pałac Papieża, bo też to pałac, jakiego szukać na całym świecie: ma jedynaście tysięcy pokoi, a samych schodów to aż dziewięćset; a gdy się na to patrzał, to powtarzał ustawicznie: — O jakże musi być ślicznie w Niebie, gdy już tak pięknie tu na ziemi! — Nadworni panowie, prałaci i oficerowie papiescy podziwiali naszego Borunia, i przypatrywali się jego pięknemu polskiemu strojowi, i pytali go przez tłumacza o szczegóły podróży.

A tu podwoje się otwarły, i wchodzi Papież Pius Dziewiąty, i prosto idzie do Borunia, a gdy przed nim stanął, zapytał się tłumacza:

— Ten to więc jest chłop polski, który przyszedł do Rzymu?

— Tak jest Ojcze Najświętszy — odpowiedział tłumacz — i opowiedział, że siedem tygodni szedł do Rzymu, by pocieszyć w smutku Ojca Ś., bo lud polski ma głęboką wiarę, i przywiązany jest do kościoła.

Papież słuchał tego opowiadania z wielką uwagą, i często powtarzał:

— Biedak!

Gdy ów tłumacz klęcząc z Boruniem przed Papieżem mówić przestał, Papież tak się odezwał do kmiotka polskiego:

— Gdy najbliżsi synowie opuszczają kościół, ty ubogi kmiotku z dalekiego narodu przyszedłeś pieszo, aby Matce swej Kościołowi Rzymskiemu, i Namiestnikowi Chrystusa hołd złożyć i wierność wyrazić! Zaprawdę powiadam ci, iż błogosławiony jesteś, i że błogosławieństwo Boże spoczywać będzie na tobie! — Potem dał mu Papież śrebrny medal z figurą niepokalanie poczętej Boga Rodzicy, i rzekł:

— Ja zaś błogosławię ciebie, i cały lud polski błogosławię w tobie.

Te wszystkie wyrazy Ojca Ś. powtarzał tłumacz Boruniowi po polsku. Natenczas nasz chłopek w głos płakać zaczął, a przypadłszy do stóp Ojca Ś. całował je z zapałem i łzami oblewał; bo też prawdziwie uszczęśliwiony został, że go Ojciec całego Chrześcijaństwa tak łaskawie i serdecznie przyjąć raczył.

Jest tam w Rzymie także kilku księży polskich. Oto jeden z nich Ksiądz Kajsiewicz zajął się naszym kmiotkiem, oprowadził go po Rzymie, obwiózł go też i po Włoskim kraju; a potem to znów tak wracał do swojego kraju, jak przyszedł, to jest pieszo, jako bardzo ubogi; ale bogactwo wielkie przynosi dla siebie, dla naszego ludu i dla całej ziemi polskiej, bo błogosławieństwo Ojca Ś. przynosi nam. Oj, szczęśliwy będziesz narodzie mój, gdyż spoczywa na tobie błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego, bo przez niego sam Chrystus tobie pobłogosławił. A z tem błogosławieństwem Chrystusowem oby weszło zarazem owo upragnione szczęście do ziemi naszej, do którego tak długo wzdychamy! *Sz. N.*

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.